



ROBERT  
LUDLUM

ILUZJA SKORPIONA



# Prolog

Aszkelon, Izrael, godzina 02.47

Nocny deszcz siekł jak ściana srebrnych noży, ciemne niebo zasnuły jeszcze ciemniejsze zwały skłębionych czarnych chmur, a porywy wiatru i morskie fale wściekle miały dwoma związanymi pontonami zbliżającymi się do brzegu.

Członkowie ekipy desantowej przemokli do suchej nitki, pocernione twarze spływały śmiertelnym potem i deszczem; bez przerwy mrugając i wytężając wzrok, próbowali wypatrzyć skraj plaży. Oddział składał się z ośmiu Palestyńczyków z doliny Bekaa oraz jednej kobiety. Mimo że nie łączyło jej z nimi pochodzenie, poświęciła się ich sprawie, bo była ona nieodłącznie związana z jej prywatną walką, ze zobowiązaniem, jakie podjęła przed wielu laty: *Muerte a toda autoridad!*\*. Była żoną dowódcy komanda.

– Za chwilę przybijamy! – zawołał olbrzymi mężczyzna, klękając obok niej. Ubrany, podobnie jak pozostali, na czarno, miał ciasno przytwierdzoną do ciała broń, a w wysoko przypiętym czarnym wodoszczelnym plecaku niósł materiały wybuchowe. – Pamiętaj, kiedy zejdziemy na brzeg, rzuć kotwicę między łodzie, to bardzo ważne – przykazał.

– Rozumiem, mężu, ale wołałabym pójść z tobą...

---

\* *Muerte a toda autoridad!* (hiszp.) – Śmierć wszelkiej władzy!

– I pozbawić nas możliwości ucieczki i prowadzenia dalszej walki? – przerwał jej. – Linia wysokiego napięcia biegnie niecałe trzy kilometry od wybrzeża. Zaopatruje cały Tel Awiw. Kiedy ją wysadzimy, zapanuje chaos. Ukradniemy jakiś pojazd i wrócimy w ciągu godziny, ale sprzęt musi tu na nas czekać.

– Rozumiem.

– Czy aby na pewno? Wyobrażasz sobie, jak to będzie wyglądało? Cały Tel Awiw, a w każdym razie większość miasta, pograży się w ciemności! No i Aszkelon, rzecz jasna. Wymarzona sytuacja... I właśnie ty, najdroższa, to ty znalazłaś ich słaby punkt, idealny cel!

– Ja go jedynie zaproponowałam. – Pogładziła męża po policzku. – Tylko wróć do mnie, ukochany, bo jesteś moją jedyną miłością.

– Wróć, bez obaw, moja zrodzona z ognia Amayo... Prawie dobijamy... Teraz!

Dowódca komanda dał znak swoim ludziom na obu łodziach. Wszyscy wskoczyli w silny przybój i unieśli broń wysoko nad głowy, gdy zmagając się z naporem fal, brnęli po grząskim piasku na plażę. Na brzegu dowódca wysłał latarką krótki pojedynczy błysk na znak, że cały oddział jest już na wrogim terytorium, gotów przedzierać się dalej i wykonać zadanie. Jego żona rzuciła wtedy ciężką kotwicę za burtę, między dwa związane, kołyszące się w rytm fal pontony. Przysunęła do ust i uszu krótkofalówkę – trzymała ją na wszelki wypadek, mogła skorzystać z niej jedynie w razie zagrożenia, bo Żydzi nie byli przecież tak głupi, by nie monitorować używanych nad morzem częstotliwości.

I wtedy znenacka, z tragiczną nieuchronnością, wszelkie marzenia o chwale legły w gruzach, skoszone ogniem z broni maszynowej, który wybuchł na obu flankach komanda. Nastąpiła masakra. Żołnierze biegali po piasku, strzelając do drgających ciał bojowników z Brygady Aszkelonu, roztrzaskując im głowy, nie oszczędzając nikogo. *Nie brać*

### *jeńców! Siąc śmierć!*

W oddali, na łodzi, pomimo cierpienia i paraliżującego umysł szoku żona dowódcy zareagowała błyskawicznie, lecz nawet szybkość ruchów nie zmniejszyła jej bólu, przytępiła go tylko, kiedy instynkt przetrwania pchnął ją do tego, by zaczęła działać. Wbiła długie ostrze noża w boki i dna pontonów z polichloru winylu, chwyciła wodoszczelną torbę zawierającą broń oraz fałszywe dokumenty, po czym zsunęła się za burty, w potężne fale. Dzięki imponującej sile, walcząc z przybojem i cofającą się w głąb morza wodą, brnęła przez pięćdziesiąt metrów wzdłuż brzegu na południe, a potem skręciła i popłynęła prostopadle do fal, w stronę plaży. Na płyciźnie zległa na brzuchu i oślepią zacinającym deszczem, niemal po omacku czołgała się z powrotem na miejsce jatki. W końcu usłyszała krzyki izraelskich żołnierzy, którzy darli się po hebrajsku, i każdy mięsień, każde ścięgno w jej ciele zastygły z zapiekłej nienawiści.

– Trzeba było wziąć jeńców.

– Po cholere? Żeby potem znów zabijali dzieci, tak jak zamordowali moich dwóch synów w szkolnym autobusie?

– Dadzą nam popalić... Wszyscy zginęli.

– Tak jak moja matka i mój ojciec. Skurwiele skosili ich w winnicy, dwoje staruszków pośród winorośli.

– Niech zginią w piekle! Hezbollah zamęczył na śmierć mojego brata!

– Zabierzmy im broń i postrzelajmy z niej trochę... ale tak, żeby kilku z nas drasnęło siebie w ręce i nogi!

– Jacob dobrze mówi! Odpowiedzieli ogniem, mogli wystrzelać nas wszystkich!

– A potem ktoś niech pobiegnie do obozu po posiłki!

– Gdzie są ich łodzie?

– Zniknęły, nigdzie ich nie widać! Pewnie były ich dziesiątki! Dlatego musieliśmy zabić wszystkich, których się dało!

– Ruchy, Jacob! Nie dawajmy pieprzonej liberalnej prasie amunicji przeciwko nam!

– Czekaj! Ten jeszcze żyje!

– Zostaw go, niech zdycha. Bierzcie ich broń i otwierajcie ogień.

Noc i deszcz wypełnił równomierny terkot kanonady. A potem żołnierze rzucili broń członków grupy desantowej obok ich zwłok i biegiem wrócili na porośnięte morską trawą piaszczyste wydmy. Po chwili tu i tam rozbłysły osłaniane dłońmi zapalki i zapalniczki; krwawa masakra dobiegła końca, czas zatuszować zajście.

Mimo to kobieta wciąż ostrożnie pełzła na brzuchu w płytkiej wodzie. Echa strzelaniny podsycaly przepelniającą ją nienawiść... nienawiść i poczucie ogromnej straty. Zamordowali jedyne go mężczyznę na świecie, którego była w stanie kochać, jedyne go mężczyznę, któremu mogła się oddać jako równemu sobie, bo żaden inny nie dorastał jej siłą i determinacją. Ale odszedł i już nigdy nie trafi jej się ktoś taki jak on – boski zawiadaka o dzikim spojrzeniu, który swoim głosem potrafił doprowadzać tłumy do łez albo śmiechu. A ona zawsze stała u jego boku, kierowała nim, uwielbiała go. W ich świecie przemocy już nigdy nie pojawi się taka para jak oni.

Usłyszała jęk, cichy krzyk, który przedarł się przez deszcz i huk fal. Z piaszczystego zbocza ktoś staczał się nad brzeg wody, niewiele ponad metr od niej. Szybko podczołgała się do mężczyzny i go złapała. Leżał z głową w piachu, ale kiedy go odwróciła na wznak, deszcz obmył z krwi jego twarz. Był to jej mąż – z jego szyi i czaszki została właściwie jasnoczerwona miazga. Przytuliła go z całej siły; na chwilę otworzył oczy, tylko raz, po czym zamknął je na zawsze.

Przeniosła wzrok na piaszczyste wydmy, na błyski osłanianych w deszczu zapalek i rozjarzone czubki zapalonych papierosów. Mając pieniądze i fałszywe papiery, przedrze się przez znieawidzony Izrael, pozostawiając za sobą śmierć.

Wróci do doliny Bekaa, a tam dotrze do Rady Starszych.  
Doskonale wiedziała, co zrobi.

*Muerte a toda autoridad!*

## Dolina Bekaa, Liban, 12.17

Panująca spiekota, jak to w środku dnia, paliła wyschnięte na wiór bite drogi w obozie uchodźców, enklawie wysiedleńców, w większości zgnojonych przez wypadki, które nie mieściły im się w głowie i na które nie mieli wpływu. Snuli się wolniutko, powłócząc nogami, ze wzrokiem wbitym w ziemię i z kamiennym wyrazem twarzy; pustka w ich ciemnych oczach zdradzała ból zacierających się wspomnień, widoków, których już nigdy nie zobaczą na żywo. Inni jednak się buntowali, piętnowali uległość, nie godzili się na obecny stan rzeczy, który mieli w głębokiej pogardzie. To byli mudżahedini, żołnierze Allaha, mściciele Boga. Chodzili szybko, zdecydowanym krokiem, zawsze z bronią na ramieniu; wiecznie czujni, rozglądali się, a z ich oczu wyzierała nienawiść.

Od masakry w Aszkelonie minęły cztery dni. Ze skromnej trzypokojowej chaty wyszła kobieta w mundurze khaki, z zakasanyimi rękawami – w wypadku tej siedziby określenie „dom” byłoby stanowczo na wyrost. Wejście zakrywał czarny materiał, powszechny symbol żałoby. Przechodnie zatrzymywali się przed chatą i wznosząc oczy do nieba, szeptem odmawiali modły za zmarłych; co jakiś czas rozlegał się lament i wołanie do Allaha, by pomścił straszny mord. Mieszkała w niej bowiem idąca piaszczystą drogą kobieta, wdowa po zabitym dowódcy Brygady Aszkelonu. Była jednak kimś więcej niż tylko kobietą i żoną – zaliczała się do wielkich mudżahedinów w tej krętej dolinie, gdzie uległość mieszała się z buntem, a ona i jej mąż stanowili symbole nadziei zwycięstwa w niemal przegranej sprawie.

Kiedy tak szła spieczoną słońcem ulicą, mijając targ pod gołym niebem, ludzie rozstępowali się przed nią. Niektórzy dotykali jej delikatnie, z nabożną czcią, bez przerwy mamrocząc modły, aż w końcu tłum zaczął skandować jednym głosem: „Baj, Baj, Baj... Baj!”.

Nie zwracając na nikogo uwagi, kobieta przeciskała się w kierunku drewnianej, podobnej do baraku sali zebrań na końcu drogi. W środku czekali na nią członkowie Rady Starszych doliny Bekaa. Weszła, wartownik zamknął za nią drzwi i stanęła twarzą w twarz z dziewięcioma mężczyznami siedzącymi przy długim stole. Po krótkim powitaniu uroczyście złożono jej kondolencje. A potem głos zabrał siedzący na środku stary Arab, przewodniczący rady.

– Otrzymaliśmy twoją wiadomość. „Niesłychana” to mało powiedziane.

– „Grobowa”, to chyba najlepsze określenie – dodał mężczyzna w średnim wieku, w mundurze jednego z wielu odłamów mudżahedinów. – Sama wykopiesz sobie grób. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę?

– Skoro tak, to szybciej połączę się z mężem, prawda?

– Nie wiedziałem, że przeszłaś na naszą wiarę – odezwał się inny.

– Kwestia mojej wiary nie ma tu najmniejszego znaczenia. Proszę was jedynie o wsparcie finansowe. Uważam, że przez lata zasłużyłam sobie na taką pomoc.

– Niewątpliwie – przytaknął kolejny z mężczyzn. – Walczyłaś niezwykle, a wraz z mężem, niech wypoczywa z Allahem w jego ogrodach, tworzyłaś niebywały zespół. Widzę jednak pewną trudność...

– Ja i ci nieliczni, których sobie dobiore, będziemy działali na własną rękę, wyłącznie po to, żeby pomścić Aszkelon. Stworzymy tymczasowy oddział, niepodlegający nikomu. Będziemy odpowiadać jedynie przed sobą. Czy to jest rozwiązanie pańskiej „trudności”?

– Jeśli potrafi pani to zrobić – rzekł jeszcze inny z ludzi za stołem.

– Nieraz już udowodniłam, że potrafię. Czy mam panu przytoczyć fakty?

– Nie, to niepotrzebne – powiedział przewodniczący. – Wielokrotnie wyprowadzałaś naszych wrogów w pole tak skutecznie, że kilka bratnich państw ukarano za akcje, o których nic nie wiedziały.

– W razie potrzeby nadal będę stosowała takie metody. Mamy... macie... wrogów i zdrajców na każdym kroku, nawet wśród waszych „bratnich państw”. Władza wszędzie korumpuje tak samo.

– Ty nikomu nie ufasz, prawda? – zapytał Arab w średnim wieku.

– Nie podoba mi się takie stwierdzenie. Poślubiłam jednego z was na dobre i na złe. A on oddał za was życie.

– Przepraszam.

– I słusznie. Jak brzmi wasza odpowiedź?

– Otrzymasz to, czego potrzebujesz – odparł przewodniczący. – Tak jak poprzednio, uzgadniaj wszystko z Bahrajnem.

– Dziękuję.

– Kiedy w końcu wjedziesz na teren Stanów Zjednoczonych, zaczniesz działać za pośrednictwem innej siatki. Będą cię obserwować, sprawdzać, a jak już się przekonają, że naprawdę stanowisz niewidzialną broń i że w żaden sposób im nie zagrażasz, skontaktują się z tobą i staniesz się jedną z nich.

– Co to za ludzie?

– W wąskim kręgu wtajemniczonych znani są jako Skorpiony... a ściśle mówiąc, *Scorpios*.



# Rozdział 1

Zachód słońca. Ku niewielkiej spokojnej plaży na prywatnej wyspie w archipelagu Małych Antyli dryfował zdemolowany słup, ze złamanym przez piorun grotmasztem i żaglami podartymi podczas sztormu na pełnym morzu. Nie dość, że w ciągu ostatnich trzech dni, zanim nastąpiła martwa cisza, tę część Karaibów nawiedził huragan o sile osławionego Hugo, to jeszcze szesnaście godzin później rozszalała się tropikalna burza. W świetle błyskawic i wśród grzmotów piorunów, od których trzęsła się ziemia, spłonęły tysiące palm, a sto tysięcy mieszkańców łańcucha wysp modliło się do swoich bogów o ocalenie.

A jednak Wielki Dom na tej wyspie przetrwał obie te klęski żywiołowe. Zbudowany z połączonych żelaznymi prętami kamieni i stali na północnym stoku olbrzymiej góry, stanowił istną fortecę, niezniszczalną i nie do zdobycia. Natomiast to, że niemal doszczętnie rozbity jacht przetrwał sztorm i dopłynął do półkolistej, wyciosanej w skale zatoczki i małej plaży, zakrawało na cud. Zdaniem wysokiej czarnoskórej pokojówki w białym stroju był to jednak zły znak; cud ten nie wyszedł spod ręki jej boga, zbiegła więc po kamiennych schodach nad brzeg wody i czterokrotnie wystrzeliła z pistoletu w powietrze.

– Gandzia! – wrzasnęła. – Nie trzeba nam tu tego świństwa!

Jazda mi stąd!

Na pokładzie łodzi klęczała samotnie trzydziestokilkuletnia kobieta. Miała ostre rysy twarzy i włosy jak strąki, długie i rozczochrane. Po sztormie jej szorty i bluzka z odkrytymi plecami wyglądały jak psu z gardła wyjęte. Zagadkowym zimnym wzrokiem spojrzała w celownik teleskopowy karabinu snajperskiego, który oparła o nadburcie, i pociągnęła za spust. Donośny huk strzaskał ciszę zatoczki na wyspie, odbijając się od skał i zbocza góry. W tej samej chwili pokojówka w białym uniformie padła na twarz w łagodnie pluskające fale.

– To był strzał, ktoś strzela! – Z kabiny pod pokładem wybiegł blisko dwumetrowy kawał chłopca. Bez koszuli, wspaniale umięśniony i przystojny, miał siedemnaście lat i regularne, niemal klasyczne rzymskie rysy twarzy. – Co się dzieje? Coś ty zrobiła?

– Tylko to, co konieczne – odparła spokojnie kobieta. – A teraz przejdź na dziób, proszę, i wyskocz, kiedy będziemy na płytkiej wodzie. Jest jeszcze dość widno, żebyś zobaczył dno. Potem wciągnij łódź na brzeg.

Nie ruszył się, by wykonać polecenie – nerwowo wycierając dłonie w dżinsy z obciętymi nogawkami, patrzył na zwłoki ubranej na biało pokojówki na plaży.

– Rany boskie, przecież to była tylko służąca! – zawołał po angielsku z rodzimym włoskim akcentem. – Nie masz za grosz przyzwoitości!

– Jasne, że nie, dzieciaku. Ale w łóżku ci to nie przeszkadza, co? I nie przeszkadzało ci wtedy, kiedy zabijałam tych trzech, którzy związali ci ręce, założyli stryczek i chcieli cię zrzucić z mola za zabójstwo kierownika portu?

– Ja go nie zabiłem! Ile razy jeszcze mam ci to powtarzać?

– Wystarczy, że oni tak uważali.

– Chciałem pójść z tym na policję. To ty mi nie pozwoliłaś!

– Głupi dzieciaku, uważasz, że udałoby ci się dotrzeć do sądu? Akurat! Zastrzeliliby cię na środku ulicy, zdmuchnęli

jak śmiecia, bo *suprèmo* dzielił się zyskami z kradzieży i łapówek z dokerami.

– Ja mu tylko nawrzucałem! Potem zostawiłem go i poszedłem na wino.

– Nie żałowałaś sobie tego wina. Kiedy cię dopadli w zaułku, bełkotałaś bez składu i ładu, aż zorientowałaś się, że masz sznur na szyi i stoisz na skraju mola... A potem ukrywałam cię tygodniami, uciekając z miejsca na miejsce, bo te żule z nadbrzeża polowały na ciebie, gotowe zabić cię bez ostrzeżenia.

– Do tej pory nie rozumiem, dlaczego byłaś dla mnie taka dobra.

– Miałam swoje powody... I wciąż je mam.

– Bóg mi świadkiem, Cabi, że zawdzięczam ci życie – powiedział młody człowiek, wciąż gapiąc się na zwłoki w białym uniformie na plaży. – Ale nigdy, przenigdy nie sądziłem, że dojdzie do czegoś takiego!

– Wolałbyś wrócić do Włoch i rodziny w Portici, gdzie czeka cię pewna śmierć?

– Nie, oczywiście, że nie, *signora* Cabrini.

– Wobec tego witaj w naszym świecie, śliczna zabaweczko – powiedziała kobieta z uśmiechem. – Wierz mi, będziesz pragnął wszystkiego, co zechcę ci dać. Jesteś tak doskonały... tak idealny, że brak mi słów. Skacz za burzę, mój cudowny Nicu... Już!

Młody człowiek wykonał polecenie.

## Deuxième Bureau, Paryż

– To ona – oświadczył mężczyzna siedzący przy biurku w zaciemnionym gabinecie. Na ścianie po prawej ręce miał wyświetloną szczegółową mapę Karaibów, zwłaszcza Małych Antyli; migocząca niebieska plamka wskazywała na wyspę

Saba. – Przypuszczalnie przepłynęła cieśniną Anegada między Dog Island a Virgin Gorda... inaczej nijak nie przeżyłaby przy tej pogodzie. Jeżeli nadal żyje.

– A jeśli zginęła? – podsunął jego asystent. Siedział przed biurkiem i gapił się na mapę. – O ile łatwiejsze byłoby nasze życie.

– Nie da się ukryć – przytaknął szef Deuxième, zapalając papierosa. – Ale w wypadku wilczycy, która przetrwała koszmar Bejrutu i doliny Bekaa, nie odwołam polowania, dopóki nie przedstawicie mi niepodważalnego dowodu na jej śmierć.

– Znam te wody – odezwał się drugi mężczyzna, stojący z lewej strony biurka. – Podczas kryzysu kubańskiego służyłem na Martynice i wiercie mi, nawałnice są tam wyjątkowo gwałtowne. Wiedząc, jakich spustoszeń dokonał ten huragan, wątpię, żeby przeżyła, zwłaszcza na tak marnej łajbie.

– A ja zakładam, że jej się udało – zaprotestował ostro szef Deuxième. – Nie mogę się opierać na przypuszczeniach, nie stać mnie na to. Znam ten rejon wyłącznie z map, ale zauważyłem tam dziesiątki naturalnych zatoczek i małych przystani, w których mogła się schronić. Gruntownie zbadałem ten teren.

– Nie sądzę, Henri. Na tych wyspach podczas sztormu wiatr raz wieje zgodnie z ruchem wskazówek zegara, a po chwili w przeciwnym kierunku. Gdyby rzeczywiście istniały takie zatoczki, byłyby zaznaczone i zamieszkane. Szukanie ich na mapie to nic innego jak ćwiczenie na spostrzegawczość, a nie wypatrywanie kryjówek w poszukiwaniu radzieckich okrętów podwodnych na miejscu. Ja je znam z autopsji. Powtarzam, ona nie przeżyła.

– Obyś miał rację, Ardisonne. Ktoś taki jak Amaya Bajaratt nie powinien dłużej chodzić po tym świecie.

## Centralna Agencja Wywiadowcza, Langley, Wirginia

W pomalowanym na biało podziemnym centrum łączności CIA jeden zamykany na klucz pokój przeznaczono dla ekipy dwunastu analityków – dziewięciu mężczyzn i trzech kobiet – którzy w czteroosobowych zespołach pracowali na zmianę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ci władający wieloma językami eksperci od międzynarodowej komunikacji radiowej, wśród nich dwaj najbardziej doświadczeni kryptografowie agencji, mieli absolutny zakaz rozmów na temat swojej pracy z kimkolwiek, nie wyłączając mężów i żon.

Mężczyzna po czterdziestce, bez marynarki, odjechał obrotowym fotelem o miękko wyściełanym siedzeniu od biurka i zerknął na kolegów z nocnej zmiany – kobietę oraz dwóch mężczyzn. Dochodziła czwarta nad ranem, połowę dyżuru mieli już za sobą.

– Chyba na coś wpadłem – oznajmił, nie zwracając się do nikogo konkretnego.

– Na co? – spytała kobieta. – Bo u mnie dziś w nocy ziele nudą.

– Podziel się tym z nami, Ron – odezwał się mężczyzna ulokowany najbliżej głośnika. – Radio Bagdad nadaje takie dyrdymały, że zaraz zasnę.

– Daj sobie spokój z Bagdadem, weź się za Bahrajn – poradził mu Ron, biorąc z drucianej tacki wydruk ze swojego komputera.

– Dlaczego, bo są bogaci? I co w tym złego? – Trzeci mężczyzna oderwał się od elektronicznego pulpitu.

– Właśnie to, że są bogaci. Nasz informator z Manamy przekazał, że na szyfrowane konto w Zurychu przekazano pół miliona dolarów amerykańskich, z przeznaczeniem...

– Pół miliona? – przerwał mu ten, co siedział blisko głośnika. – Dla tych ludzi to przecież marne grosze!

– Nie powiedziałem jeszcze o przeznaczeniu pieniędzy ani o metodzie transferu. Z Banku Abu Zabi do Crédit Suisse w Zurychu...

– Kanał przerzutowy doliny Bekaa. – Kobieta natychmiast rozpoznała nadawcę. – A odbiorca końcowy?

– Na Karaibach, dokładne miejsce nieznane.

– Więc je ustalcie!

– Chwilowo to niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytał ten trzeci. – Bo nie mamy potwierdzenia?

– Ależ mamy, uzyskaliśmy je w najgorszy możliwy sposób. Godzinę po nawiązaniu kontaktu z łącznikiem, szefem protokołu w ambasadzie, którego czym prędzej wycofano, nasz informator został zabity.

– Bekaa – powiedziała cicho kobieta. – Karaiby. Bajaratt!

– Przefaksuję to na bezpiecznej linii O’Ryanowi. Przyda nam się jego łeb.

– Dzisiaj to pół miliona – powiedział trzeci z mężczyzn. – Ale jeśli kanał przerzutu się sprawdzi, jutro może tego być pięć melonów.

– Znałam naszego człowieka w Bahrajnie. – W głosie kobiety zabrzmiał smutek. – Z gruntu porządny gość, miał śliczną żonę i dzieci. Jasna cholera! Bajaratt!

## MI6, Londyn

– Nasz agent terenowy z Dominiki poleciał na północ i potwierdził informacje przesłane nam przez Francuzów. – Dyrektor brytyjskiego wywiadu zagranicznego podszedł do kwadratowego stołu na środku sali odpraw. Prawie cały blat zajmowała olbrzymia opasła księga. Stojące na półkach setki takich samych tomów zawierały szczegółowe mapy polowe konkretnych części świata. Wypisany złotymi literami na

czarnej okładce tytuł brzmiał: *Karaiby – Wyspy Nawietrzne i Zawietrzne. Antyle. Brytyjskie Wyspy Dziewicze i Wyspy Dziewicze Stanów Zjednoczonych*. – Pokaż mi, z łaski swojej, gdzie jest cieśnina Anegada – poprosił swojego współpracownika.

– Tak jest. – Widząc zdenerwowanie przełożonego, drugi mężczyzna w sali odpraw czym prędzej wziął się do roboty, chociaż irytacja szefa nie wynikała z powagi sytuacji, tylko ze sztywnej prawej ręki, w której nie miał władzy. Agent długo przerzucał ciężkie mapy polowe, aż w końcu znalazł właściwą. – Mam... Rany boskie, przy takim sztormie nikomu nie udałoby się dopłynąć tak daleko, w każdym razie nie małą łódką.

– A jednak może dotarła.

– Dotarła? Dokąd?

– Tam, dokąd się wybierała.

– Z Basse-Terre do Anegady w ciągu trzech dni i w takich warunkach? Nie sądzę. Żeby zdążyć w tym czasie, przez ponad połowę drogi musiałyby płynąć po otwartym morzu.

– Właśnie dlatego cię tu poprosiłem. Zdaje się, że całkiem dobrze znasz ten teren, prawda? Pracowałeś na wyspach.

– Podejrzewam, że można mnie uznać za eksperta, jeżeli coś takiego w ogóle istnieje. Przez dziewięć lat kierowałem z Tortoli siatką Szóstki w tym rejonie, obleciałem całą tę cholerną okolicę... Nie powiem, nawet miła robota. Do tej pory utrzymuję kontakty z dawnymi kumplami. Wszyscy uważali mnie za nadzianego uciekiniera od cywilizacji, który lubił sobie latać własnym samolotem z jednej wyspy na drugą.

– Tak, czytałem twoje akta. Spisałeś się znakomicie.

– Zimna wojna ułatwiała mi zadanie, a poza tym byłem o czternaście lat młodszy... chociaż i tak miałem już swoje lata. Ale dzisiaj za żadne skarby nie latałbym nad tymi wodami za sterami dwusilnikowego samolotu.

– Domyślam się – mruknął dyrektor, pochylając się nad

mapą. – Czyli jako ekspert utrzymujesz, że nie mogła przeżyć.

– „Nie mogła” to zbyt kategoryczne stwierdzenie. Powiedzmy, że jest to wysoce nieprawdopodobne, w zasadzie niemożliwe.

– Tak samo myśli twój odpowiednik z Deuxième.

– Ardisonne?

– Znasz go?

– Kryptonim Richelieu. Tak, oczywiście. Porządny gość, chociaż trochę zadufany w sobie. Działał z Martyniki.

– Teraz też jest pewny siebie. Świącie wierzy, że ona zginęła na morzu.

– W tym wypadku ma wszelkie podstawy do takiego zdania. Ale skoro poprosił mnie pan tu w charakterze doradcy, czy mogę zadać kilka pytań?

– Śmiało, agencie Cooke.

– Wygląda na to, że ta Bajaratt jest w dolinie Bekaa kimś w rodzaju legendy, ale od kilku lat ślęczę nad spisami terrorystów i nie przypominam sobie, żebym na nią trafił. Dlaczego?

– Dlatego, że nazywa się inaczej, może tylko imię się zgadza – wpadł mi w słowo szef MI6. – Przybrała to nazwisko przed laty. Prawdopodobnie sądzi, że w ten sposób ukrywa swoje tajemnice, bo jej zdaniem nikt nie ma pojęcia, skąd się wzięła i kim jest naprawdę. Zakładając, że mogli do nas przeniknąć szpiedzy, i przewidując, że ta kobieta szykuje jakiś grubszy numer, utajniłszy te informacje.

– A tak, rozumiem. Znając fałszywe nazwisko i wiedząc, skąd się wzięło, czyli jak brzmiało prawdziwe, można sprawdzić przeszłość figuranta, określić jego osobowość, a nawet stworzyć wzorzec przewidywalnych zachowań. Ale kim ona właściwie jest? Co robi?

– Należy do najbardziej skutecznych terrorystów naszych czasów.

– Arabka?



– Nie.  
– Izraelitka?  
– Nie, i raczej nie obnosiłbym się z tym przypuszczeniem.  
– Bzdura. Mossad prowadzi szeroko zakrojoną działalność...  
Ale, jeśli można, proszę mi odpowiedzieć na kolejne pytanie.  
Jak pan wie, służyłem głównie po drugiej stronie świata. I nie  
rozumiem, dlaczego ta kobieta jest aż tak ważna.

– Bo jest na sprzedaż.

– Co takiego?

– Jeździ tam, gdzie akurat wybuchły zamieszki, bunty czy powstania, i sprzedaje swoje umiejętności temu, kto da najwięcej... A dodam, że wyniki ma nadzwyczajne.

– Pan wybaczy, ale to nie wygląda poważnie. Samotna kobieta pakuje się w wir rozruchów i proponuje swoje usługi jako kto? Doradca? A w jaki sposób dociera do klientów? Ogłasza się w gazetach?

– Nie musi, Geoff. – Dyrektor MI6 wrócił do stołu konferencyjnego, niezdarnie przysunął sobie krzesło lewą ręką i usiadł. – Jest mistrzynią, jeśli chodzi o sianie zamętu. Zna mocne i słabe strony zwalczających się frakcji, wie, kim są ich przywódcy, i potrafi do nich dotrzeć. Nie zawiera trwałych sojuszy, ani moralnych, ani politycznych. Jej profesja to śmierć. Po prostu.

– Wcale nie sędzę, żeby to było takie proste.

– Rezultat końcowy jest prosty, chociaż, ma się rozumieć, nie początki... Niełatwo ustalić, skąd się wzięła. Siadaj, Geoffrey, opowiem ci pokrótce, co udało nam się z tego sklecić. – Dyrektor otworzył leżącą przed nim brązową kopertę i wyjął trzy fotografie, powiększenia pośpieszenie zrobionych z ukrycia zdjęć idącej kobiety. Mimo to twarz na wszystkich była wyraźna, uchwycona w ostrym słońcu. – Oto Amaya Bajaratt.

– Przecież to trzy różne osoby! – zawołał Geoffrey Cooke.

– Ale na którym zdjęciu jest ona? – podpuszczał go

dyrektor. – A może na wszystkich trzech?

– Rozumiem, co pan ma na myśli... – odparł z wahaniem agent. – Na każdym ma inną fryzurę... raz jest blondynką, raz brunetką i, jak przypuszczam, szatynką. Włosy a to są długie, a to krótkie, a to średniej długości. Ale rysy twarzy za każdym razem się różnią... Wprawdzie nie aż tak bardzo, lecz są inne.

– Plastik w kolorze ciała? Wosk? Kontrola mięśni twarzy? Żadna z tych metod nie nastęrcza trudności.

– Przypuszczam, że na te pytania powinna odpowiedzieć spektrografia. Przynajmniej jeśli chodzi o dodatki typu plastik czy wosk.

– Powinna, ale nie odpowiada. Nasi eksperci twierdzą, że fotometry fotoelektryczne można oszukać niektórymi związkami chemicznymi, a zresztą ten sam efekt może dać załamanie fal ostrego światła... Rzecz jasna, w praktyce oznacza to, że nic nie wiedzą i nie wychył się z własną opinią.

– No dobrze – powiedział Cooke. – Przypuszczalnie jedna z tych kobiet to ona, może nawet wszystkie trzy, ale skąd, u diabła, ma pan tę pewność?

– To chyba kwestia wiarygodności.

– Wiarygodności?

– My i Francuzi zapłaciliśmy za te zdjęcia kupę forsy, a dostaliśmy je od naszych wieloletnich tajnych informatorów. Żaden z nich nie ryzykowałby utraty cennego źródła dochodów, podsuwając nam fałszywkę. Każdy wierzy, że naprawdę uwiecznił na zdjęciu Bajaratt.

– Ale dokąd się wybierała? Z Basse-Terre do Anegady, jeśli rzeczywiście tam płynęła, jest grubo ponad dwieście kilometrów... A na tej trasie szalały wtedy dwa sztormy. I skąd w ogóle pomysł z cieśniną Anegada?

– Stąd, że jej łódź widziano u wybrzeży Marigot... Z powodu skał nie mogła przybić do brzegu, a mała przystań została obrócona w perzynę.

– Kto ją zauważył?